

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

ISABEL

Spędziłam weekend, czekając, aż Grace zadzwoni i zaprosi mnie do siebie. Kiedy w końcu zdałam sobie sprawę, że ona pewnie czeka, Az tradycyjnie sama się wproszę, był już poniedziałek. Tego samego dnia nadeszła przysyłka z niebezpiecznymi zabawkami Cole'a. Uznałam, że mogę dostarczyć paczkę osobiście i przy okazji spotkać się z Grace. To nie będzie wyglądało tak, jakbym jechała tam specjalnie po to, żeby zobaczyć tego nieznośnego chłopaka. Wiedziałam przecież, co było dla mnie dobre. Nawet jeśli mi się to nie podobało.

Kiedy Cole otworzył mi drzwi, był bez koszulki. Jego ciało było lekko spocone. Wyglądał, jakby kopał doły w ziemi gołymi rękami. Miał też siniak pod lewym okiem. Uśmiechał się od ucha do ucha. Wyglądał imponująco, mimo że był ubrany tylko w spodnie od dresu i miał potargane włosy. Tak, ten facet dysponował niezaprzeczalnie filmowym wdziękiem, nawet gdy występował na nieciekawej scenie.

- Dzień dobry – przywitał się i wyjrzał na zewnątrz. – Nie zdawałem sobie sprawy, że w Minnesocie może być tak ładnie.

Na dworze było pięknie. To był jeden z tych idealnych wiosennych dni, które zaskakiwały swoim blaskiem pomiędzy tygodniami lodowatej aury a środkiem upalnego lata. Trawnik pachniał bukszpanem zasadzonym niedawno przed domem.

- Jest już popołudnie – zauważyłam. – Twoje rzeczy są w samochodzie. Nie powiedziałaś, jakiego rodzaju środków uspokajających potrzebujesz, więc zamówiłam najmocniejsze, jakie udało mi się znaleźć.

Cole potarł pierś brudną ręką i wyciągnął szyję, jakby mógł zobaczyć to, co przywiozłam, ze swego miejsca.

- Ale ty mnie dobrze znasz... Wejdz, właśnie pichcę świeży gar narkotyków. Miałem cholerna noc.

Muzyka ryczała z salonu. Trudno było uwierzyć, że Grace przebywa w tym samym domu.

- Nie wiem, czy wejde – oznajmiłam.

Cole zaśmiał się nonszalancko, bagatelizując moje słowa, i poszedł boso do SUV-a.

- Przednie czy tylne siedzenie?
- Tylne.

To nie było duże pudło. Sama mogłam je przenieść, ale chciałam zobaczyć nagie ramiona Cole'a owinięte wokół pakunku.

- Wejdz do mojej pracowni, maleńka – zaprosił mnie.

Ruszyłam za nim do środka. Było tu chłodniej niż na zewnątrz i śmierdziało spalenizną. Muzyka grała tak głośno, że czułam jej wibracje pod podszewkami butów. Musiałam niemal krzyknąć, żeby było mnie słychać.

- Gdzie są Sam i Grace?
- Ringo pojechał gdzieś samochodem kilka godzin temu. Musiał zabrać ze sobą Grace. Nie wiem dokąd.
- Nie zapytałeś?
- Nie jesteśmy małżeństwem – oznajmił Cole, po czym dodał skromnym tonem: - Jeszcze nie.

Ręce miał zajęte trzymaniem pudła, więc po prostu kopnął drzwi, zatrzaskując je za sobą, i rzucił:

- Kuchnia.

Przy chaotycznym wtórze muzyki ruszyłam posłusznie do pomieszczenia, w którym zapach spalenizny był najmocniejszy. Wyglądało jak pobożowisko. Na blacie stało mnóstwo szklanek, markerów, strzykawek i książek, a także rozerwana i przewrócona na bok paczka cukru. Wszystkie szafki pokryte były zdjęciami członków sfory z Mercy Falls w ludzkich postaciach.

Starłam się niczego nie dotykać.

- Co się przypaliło?
- Mój mózg – wyjaśnił Cole. Użył ostatniego wolnego kawałka blatu, tuż obok mikrofalówki, żeby postawić na nim pudło. – Przepraszam za bałagan. Na obiad polecamy amitryptylinę.
- Czy Sam wie, że zamieniłeś jego kuchnię w laboratorium do produkcji narkotyków?
- Taa. Pomysł zatwierdzony przez Sama Rotha. Chcesz kawy, zanim pójdziemy zainstalować pułapkę?

Cukier zachrząścił mi pod obcasami.

- Nie mówiłam, że pomogę ci w zastawianiu sideł.

Cole zbadał wnętrze kubka, zanim postawił go przede mną i napełnił kawą.

- Czytam pomiędzy wierszami. Cukru? Mleka?
- Jesteś naćpany...? I czemu nigdy nie masz na sobie koszulki?
- Sypiam nago – powiedział Cole. Dodał mi do kawy zarówno cukru, jak i mleka. – W ciągu dnia w miarę upływu czasu nakładam na siebie więcej ubrań. Powinnaś była przyjść godzinę temu.

Zmiażdżyłam go wzrokiem.

- Poza tym nie jestem naćpany – oświadczył. – Czuję się urażony, że mnie o to pytasz.

Nie wyglądał jednak na urażonego.

Wzięłam łyk kawy. Nie była zła.

- Nad czym tak naprawdę pracujesz?
- Nad czymś, co nie zabije Becka – wyjaśnił. Jego postawa w stosunku do substancji chemicznych w pomieszczeniu była jednocześnie lekceważąca i zaborcza. – Wiesz, co byłoby naprawdę wspaniałe? Gdybyś pomogła mi się dostać do szkolnego laboratorium dziś wieczorem.
- Masz na myśli włamanie?
- Mam na myśli, że potrzebuje mikroskopu. Nie poczynić zbyt wielu naukowych odkryć w laboratorium zbudowanym z klocków lego i plasteliny. Potrzebuje prawdziwego sprzętu.

Przyjrzałam mu się. Trudno było się oprzeć tej wersji Cole'a – elektryzującej i pewnej siebie. Spojrzałam na niego gniewnie.

- Nie pomogę ci się włamać do szkoły – oznajmiłam.

Chłopak wyciągnął rękę w moja stronę.

- Dobra. Ale w takim razie oddaj mi moją kawę.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak głośno musiałam mówić, żeby przekrzyczeć muzykę, dopóki nie nastąpiła przerwa. Wreszcie mogłam ściszyć głos.

- Teraz jest moja – zaprotestowałam, powtarzając dokładnie to, co Cole powiedział ostatnio do mnie w księgarni. – No i mogę ci pomóc dostać się do kliniki mojej mamy.
- Jesteś *mensh** - oświadczył.
- Nie mam pojęcia, co to znaczy – odpowiedziałam.
- Ja też nie. Ale Sam użył ostatnio tego słowa. Spodobało mi się jego brzmienie.

* *Mensch* (jidysz) – osoba uczciwa i honorowa.

To wspaniale podsumowywało logikę działania Cole'a. Usłyszał coś, czego do końca nie rozumiał, spodobało mu się i po prostu to sobie przywłaszczył.

Zaczęłam grzebać w swojej torebce.

- Przyniosłam ci coś jeszcze.

Podaliśmy mu mały model mustanga, czarny i lśniący.

Cole wziął go ode mnie i położył we wnętrzu dłoni. Zamarł w bezruchu. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że wcześniej cały czas się poruszał. Po chwili powiedział:

- Założę się, że ma lepszy przebieg niż mój prawdziwy.

Przejechał samochodem po krawędzi blatu, naśladowując miękki, wznoszący się dźwięk silnika. Na końcu blatu poszybował nim do góry.

- Ale nie pozwolę ci prowadzić.
- Czerń to nie mój kolor – oznajmiłam.

Nagle Cole wyciągnął rękę i złapał mnie w pasie. Otworzyłam szerzej oczy.

- Wyglądasz świetnie we wszystkim, Isabel Culpeper. Idealna dziesiątka.

Zaczął tańczyć. A ja niespodziewanie dołączyłam do niego. Ta wersja Cole'a była nawet bardziej przekonująca niż poprzednia. Liczył się tylko jego uśmiech, jego ręce obejmujące moją talię, jego ciało tak blisko mojego. Uwielbiałam tańczyć, ale zawsze byłam wtedy świadoma tego, co robię, świadoma tego, jak zachowuje się moje ciało. Teraz, gdy Cole tańczył ze mną, wszystko poza muzyką stało się niewidzialne. Ja sama byłam niewidzialna. Moje biodra były huczącą linią basu. Moje dłonie zamieniły się w zawrodozienie syntezatora. Moje ciało było pulsującym ostrym bitem. Moje myśli stanowiły przebłyski pomiędzy bitami.

Bit:

moja ręka dociśnięta do brzucha Cole'a

bit:

zderzenie naszych bioder

bit:

jego śmiech

bit:

byliśmy jednością.

Nawet świadomość, że Cole świetnie tańczy, bo muzyka to jego życie, nie umniejszała cudowności tej chwili. Poza tym nie próbował być świetny beze mnie – każdy jego ruch istniał po to, żebyśmy ruszali się razem. Nie było w tym miejsc na jego wybujałe ego. Była tylko muzyka i nasze ciała.

Kiedy utwór dobiegł końca, Cole odsunął się ode mnie, dysząc, z półuśmiechem na twarzy.

Chciałam wciąż tańczyć, Az zabraknie mi sił. Chciałam, by nasze ciała były tak blisko siebie, że nic nie mogłoby ich rozdzielić.

- Jesteś jak nałóg – powiedziałam mu.
- Powinnaś być tego świadoma.